

POLACY – NIEMCY: DIALOG W NAUCE I POLITYCE

Przemówienie prof. Anny Wolff-Powęskiej

Panie Prezydencie
Szanowni Państwo
Drodzy Goście

W historii rodzaju ludzkiego nie było nigdy większej przepaści między rozwojem nauki i techniki a barbarzyństwem politycznym i moralnym, jak to miało miejsce w XX stuleciu. Przez ponad połowę minionego wieku Instytut Zachodni towarzyszył jego sprzecznościom, wątpleniom, uniesieniom, był podmiotem i przedmiotem intelektualnych i politycznych dysput, statystą i współtwórcą kształtowania mentalności i kultury politycznej w naszym kraju i w stosunkach międzynarodowych. Był jednak nade wszystko kronikarzem i komentatorem sąsiedztwa polsko-niemieckiego przez 60 lat, w ciągu których całkowicie zmieniły się Niemcy, Polska i Europa. Zmienił się również Instytut Zachodni.

Jego zręby tworzyły się, gdy Europa leżała w gruzach. Dziś świętuje swój jubileusz, kiedy Polska w towarzystwie dziewięciu państw środkowej, wschodniej i południowo-wschodniej Europy zajmuje należne jej miejsce na scenie europejskiej, chociaż jest to moment daleki od satysfakcji, w którym brakuje humanistycznej motywacji i politycznego entuzjazmu czasów heroicznych i idealistycznych budowania podstaw wspólnoty europejskiej. Pierwsze zamierzenia naukowe sformułował Instytut, gdy II Rzeczpospolita okupowana była jeszcze przez III Rzeszę. Dzisiaj po raz pierwszy oba narody znajdują się po tej samej stronie demokratycznych i zintegrowanych w Europie państw. Jednocześnie jednak w obu społeczeństwach do głosu dochodzą nowe lęki i ożywają stare emocje, rozczarowane faktem, iż deklarowana w traktatach przyjaźń okazuje się, w konfrontacji z podmuchami dziejowymi, materia nader kruchą i niepewną.

Gdybym miała w lapidarnej formie określić etapy powojennej ewolucji stosunków polsko-niemieckich, nazwałabym je:

- fazą przepaści, określonej przez wojnę i ideologię
- zwątpienia w sens trwania ideologicznej konfrontacji
- idealizmu, który towarzyszył z entuzjazmem rozpoczętemu procesowi poprawy stosunków polsko-niemieckich w okresie demokratyzacji Polski
- sąsiedztwa bliskiego dystansu, charakterystycznego dla przełomu XX i XXI w.

W pierwszym 25-leciu Polska i Niemcy żyły w całkowicie odmiennych światach, którym brakowało jakiegokolwiek wspólnego punktu odniesienia. Dla Niemców zwycięzcami byli Rosjanie, ofiarami Żydzi, a Polacy pozostawali tylko zaborcami ich obszarów wschodnich. Dla Niemiec w okresie rządów Adenauera Polska nie istniała jako odrębny byt, była „krajem nad Wisłą, częścią Azji, która – jak pisał do przyjaciela – stoi na Elbie”. Żaden z polityków zachodnioniemieckich nie zdobył się na polityczną odwagę jednoznacznego pozbawienia złudzeń ofiar przymusowych wysiedleń. Przeciwnie, jeszcze w 1960 r. obiecywano im powrót do ich starej ojczyzny, jeśli „tylko RFN silnie i wiernie będzie stać przy sojuszu atlantyckim”. Stanowili oni bowiem wielomilionową siłę polityczną, liczącą się masę wyborczą.

Mówiliśmy różnymi językami. To, co dla Polaków stanowiło ich ojczyznę, dla Niemców było „krajem nad Wisłą pod przejściową administracją Polski”. Ci, którzy dla Polaków byli „ofiarami przymusowych wysiedleń”, dla obywateli starej Republiki Federalnej Niemiec byli „wypędzonymi”. Obszar, który określaliśmy jako „ziemie odzyskane”, symbol narodowej nadziei i znak nowego początku, dla naszych zachodnich sąsiadów był „ziemiami utraconymi”, elementem przegranej historii.

W odpowiedzi na krzykliwą retorykę ofiar przymusowych wysiedleń w Polsce dominowała tendencja do wywołania określonych stanów emocjonalnych, tak, by społeczeństwo zasiedlające ziemie zachodnie „odczuwało, że idzie po swoje” i przeżywało dzieje polskości przejętego obszaru nadodrzańskiego i nadbałtyckiego. Po doświadczeniach okupacji hitlerowskiej i sowieckiej łatwo było odrzucić to, co obce i przyswoić sobie mit o „wiecznej polskości” tych ziem. Czyż można było jednak dziwić się, że ci, co utracili ojczyznę i dobytek na wschodzie, na obcej ziemi szukali tylko śladów polskości, skoro dawały im one poczucie swojskości i bezpieczeństwa? Kiedy w lutym 1945 r. urzędową akceptację zyskiwał memoriał założycielski Instytutu Zachodniego, polskie radio nadało pierwszą audycję z cyklu „Z dziejów niemieckiego barbarzyństwa w Polsce”, a pierwszy dyrektor Instytutu Zachodniego, prof. Zygmunt Wojciechowski definiował suwerenność Polski jako przekonanie, iż „nie można trwale myśleć o współżyciu z Niemcami”. Brakowało bowiem wówczas wspólnego mianownika, który pozwalałby na stworzenie stałych warunków dla jakiegokolwiek zbliżenia.

A jednak mimo głębokiej traumy społeczeństwo polskie nie utraciło zdrowego rozsądku. Kiedy redakcja pisma „Świat i Polska” rozpisała w 1947 r. ankietę z pytaniem, czy mimo doznanych krzywd istnieje możliwość normalizacji, 85% uznało współżycie z Niemcami w przyszłości za nieuniknione i konieczne. Jeden z respondentów, Marian Brandys za najważniejsze uznał, by „wychować nowego człowieka niemieckiego, który by nas nie nienawidził i którego byśmy mogli nie nienawidzić”.

Gdy ideologia i polityka nie pozwalały na rozluźnienie pancerza z inicjatywą dialogu wystąpili ci, którzy byli wewnątrznie bardziej suwerenni. Być może pod wpływem słów Łukasza Ewangelisty: „A ten, komu mało się odpuszcza, mało miłuje”, pierwsze impulsy do namysłu wyszły od środowiska świeckich elit chrześcijańskich i Kościołów. Przekonanie, że rychło skończy się okres, w którym Niemcy zbierali niedopałki i schodzili z drogi umundurowanym okupantom dyktowało Edmundowi Osmańczykowi już w 1946 r. na łamach „Tygodnika Powszechnego” trzeźwe wskazanie rodakom, iż „pozostaje im droga uczuciowo najprzykrzejsza i rozumowo najtrudniejsza – współpracy pokojowej z Niemcami, czujnej i roztropnej”.

Etap nieśmiałego wyciągania ręki ze strony niemieckiej zapoczątkowali ewangelicy już w 1945 r. w „stuttgarckim wyznaniu winy”, gdy pisali: „Z wielkim bólem wyznajemy: przez nas zadano ogromne cierpienia wielu ludom i krajom (...) Oskarżamy się o to, że nie byliśmy odważniejsi w wyznawaniu, nie modliliśmy się wierniej, nie kochaliśmy goręcej”. Ci, którzy przychodzili z Niemiec ze znakami pokuty prosili narody, które doznały od Niemców przemocy i najwięcej krzywdy, poczynając od Polski i Izraela, aby pozwoliły uczynić coś dobrego, postawić „znak pojednania”. Nieczęsto wspomina się, iż słynny list polskich biskupów poprzedziło memorandum intelektualistów ewangelickich z Tybingi z 1962 r., w którym domagali się jednoznacznego uznania granic. Memoriał Kościoła ewangelickiego z 15 X 1965 r. pt. „Sytuacja wypędzonych i stosunek narodu niemieckiego do jego wschodnich sąsiadów” nawoływał o rzeczową otwartość doniosłych problemów winy. To nie chadecki polityk Konrad Adenauer i nie socjaldemokrata Kurt Schumacher, lecz ewangelicki teolog Martin Niemöller podczas wizyty u biskupa Bolesława Kominka pierwszy zaakceptował powojenną rzeczywistość, mówiąc o utraconych obszarach wschodnich: „Ta ziemia nie jest już naszą ziemią”. W piśmie towarzyszącym Orędziu polskich biskupów z 18 XI 1965 r. wyrażano przekonanie, iż zachęta do dialogu winna być skierowana przede wszystkim w głąb siebie: „Nie pisaliśmy tego tylko do narodu niemieckiego, ale i dla naszego”. Biskupi pisali: „Mimo beznadziejnej przeszłości, i właśnie dlatego, czcigodni bracia wołamy: Próbujmy zapomnieć! Bez polemik, bez dalszej zimnej wojny, ale poprzez rozpoczęcie dialogu”. W rok później biskup Kominek upominał w katedrze wrocławskiej, iż „sprzeciw wobec pojednania z sąsiadem niemieckim równa się uderzeniu w twarz polskiej racji stanu”. Przekonania o wzmacniającej sile dialogu nie podzielały jednak wówczas jeszcze ani rządy, ani społeczeństwa. Były to bowiem czasy, kiedy dialog uważany był za zdradę.

Porozumienie między narodami potrzebuje długiej, wielokierunkowej pracy. Ma ona po obu stronach granicy bardzo wątle korzenie, krótką tradycję i nie stoją za nią zastępy orędowników. Kiedy skończyła się wojna fizyczna, potem ideologiczna, rozpoczęła się wojna odmiennych pamięci; pamięci, która nie poddaje się transformacji w wyższą uniwersalną oczyszczającą prawdę, lecz służy najczęściej jako broń wymierzona w kierunku przeciwnika. Przyczyny są zarówno natury obiektywnej, jak i subiektywnej. Historię można w pełni poznać, gdy się kończy; historia nie kończy się jednak nigdy, uczyć się z niej można, gdy się powtarza; historia nie powtarza się. Uporanie się z przeszłością wymaga odwołania się do pamięci zbiorowej. Nie ma jednak żadnej uniwersalnej wyznaczającej jedną miarę pamięci; pamięć kolektywna jest zawsze bowiem pamięcią partykularną. Do obiektywnej oceny przeszłości potrzebna jest racjonalna refleksja. Tymczasem stosunek do polityki hitlerowskiej Rzeszy zawiera poprzez ogrom zbrodni wielki ładunek emocjonalny, utrudniający ocenę.

Dla Niemców rok 1945 oznaczał nierozstrzygniętą dialektykę wyzwolenia i klęski, dialektykę, która mieściła się między istotą bestialstwa i humanizmu. Została ona przypisana Niemcom na długie lata. Dla niektórych intelektualistów to, co się wydarzyło, było wyzwaniem do rewizji określonej tradycji, która poniosła klęskę, okaleczoną historii, która prezentowała Immanuela Kanta bez Mosea Mendelssohna, Novalisa bez Heinricha Heinego, Carla Junga bez Zygmunta Freuda, Carla Schmitta bez Hermanna Hellera. Jednych nurtowało, co w cieniu Dachau zostało z Goethego, inni szukali odwagi do życia.

Kiedy skończyły się czasy otaczania drutem kolczastym obozów koncentracyjnych, drut kolczasty wrócił do Niemiec, otoczył Berlin i NRD. Okazało się wówczas, że początek nowej Europie dał jednak dialog i negocjacje, dialog jako wymiana doświadczeń i przekonań, umiejętność słuchania i rozumienia, stworzenia płaszczyzny pozwalającej połączyć tak różne doświadczenia przeszłości. Jego rangę docenili twórcy integracji europejskiej, skoro wyrażona przez Jeana Monneta w jego pamiętnikach dewiza: „Poniechanie odwetu, odrzucenie chęci dominacji zwycięzców i zgoda na wspólne sprawowanie władzy nad częścią wspólnego bogactwa – węgla i stali” stała się podstawą zbliżenia francusko-niemieckiego i późniejszej integracji. Jego idea: „My formujemy nie koalicję państw, my jednoczymy ludzi” stała się podstawą dla zorientowanych na ideały humanitaryzmu Europejczyków.

Dla Polaków i Niemców etap międzypaństwowego dialogu rozpoczął się bez słów. Willy Brandt, pierwszy przywódca rządu zachodnioniemieckiego, który w dziejach powojennych stosunków polsko-niemieckich przybył z oficjalną wizytą w grudniu 1970 r., tłumaczył swój gest przyklęknięcia: „Nie planowałem niczego. Nad przepastną głębią dna niemieckiej historii i pod przygniatającym ciężarem milionów pomordowanych uczyniłem to, co ludzie zazwyczaj czynią, gdy zabraknie im słów”. Mozolne przybliżanie się dwóch społeczeństw oznaczało przezwyzię-

nie sprzeczności między Wschodem i Zachodem europejskim. Kraje, które przynależały kulturowo do Zachodu, politycznie do Wschodu, geograficznie do środkowej Europy, napiętnowane zostały mianem wschodniości. Oznaczało ono m. in. podporządkowanie, a także ziemię, na której wszystko wydawało się marginalne i nostalgiczne i z której system komunistyczny uczynił odrutowane peryferie, doprowadzając do zdezawuowania wartości obywatelskich. Polska i kraje napiętnowane tym mianem odbyły w ostatnich kilkunastu latach ogromny wysiłek, nieporównywalny z jakimkolwiek procesami transformacyjnymi w świecie, mający na celu pokonanie barier, które oddzieliły oba światy od siebie. Ich konstytutywną siłą okazała się umiejętność otwarcia się na dialog.

Nawiązując do słów poety rosyjskiego Fiodora Tiutczewa: „Szczęśliwy, kto oglądał świat w chwili przemiany i przełomu: Bogowie go do swego domu wezwali, by do uczy z nimi siadł”, moglibyśmy dziś powiedzieć, że biesiadowaliśmy z bogami, choć ucztą ta nie zawsze była dla nas strawna. Ludzie Instytutu Zachodniego zagłębiali się nad wszystkimi meandrami historycznych i politycznych wędrówek Niemiec, Polski i Europy. Dzisiaj stoimy przed kolejnym przełomem. Członkostwo Polski w Unii Europejskiej stanowi ogromne zobowiązanie i wyzwanie dla polityki i dla nauki. Skłania ono do stawiania pytań: co znaczyć będzie sąsiedztwo polsko-niemieckie w Europie bez granic? Jak przekształcić interes narodowy w interes europejski? W jaki sposób wykształcić poczucie przynależności i solidarności w Europie i uświadomić, że dostrzeżenie zła zagrażającego Polsce nie zagwarantuje nam dziś bezpieczeństwa, jeżeli nie doceniamy zagrożeń czyhających na naszych sąsiadów, na Europę?

W Instytucie Zachodnim nauka splotała się zawsze z polityką. Dlatego dzisiaj z okazji jubileuszu życzę zarówno przedstawicielom nauki, jak i polityki przede wszystkim poszanowania dla prawdy, uczciwości i suwerenności naukowej oraz pokory. Ani bowiem nauka ani polityka nie znają odpowiedzi na wiele pytań i wątpliwości, które niesie ze sobą najnowsza rzeczywistość; czy w zintegrowanej Europie przeważą nasza „młodość” i odwaga, czy górę weźmie brak doświadczenia i odpowiedzialności? Jakie z rozlicznych ideałów europejskich okażą się na tyle silne, by nadać Staremu Kontynentowi spójność? Najnowsza historia potwierdziła uniwersalną prawdę o kondycji ludzkiej: ani nagromadzona mądrość, ani osiągnięcia cywilizacyjne, ani sumienie oraz katalog wartości chrześcijańskich, na który się tak chętnie w Europie powołujemy, nie uchroniły nas przed pokusą pogardy i obojętności wobec pogwałcenia elementarnych praw człowieka. Europa nie jest bynajmniej kontynentem czystego sumienia. Dlatego warto, aby wśród zasad określających współzycie międzynarodowe w XXI w. przeważało nie zagrożenie, lecz przekonywanie, nie chęć dominacji, lecz umiejętność tworzenia sojuszy i nie szachowanie przeciwnika, lecz pozyskiwanie sojusznika. Dla dialogu nie może być alternatywy; ani w nauce, ani w polityce. Do dialogu potrzebna jest jednak wiedza.